19. Stycznia. **Nr. 12.** 1868 roku.

Wychodzi w **niedzielę**, z dodatkiem **muzykaljów, mód, wzorów i krojów.**
Cena:
kwartalnie . . . . **1** złr.
półrocznie . . . . **2** „
rocznie . . . . **4** „
Z dodatkiem:
kwartalnie **2** złr., półrocznie **4** złr., rocznie **8** złr. Za przesyłkę pocztową dolicza się **15** ct. kwartalnie.
Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką **60** ct.
— z dodatkiem **1** złr. **10** ct.

NOWINY

pismo tygodniowe
z dodatkiem muzykaljów i mód.

Listy *franco* przysyłać należy:
„Do wydawnictwa „**Nowin**“ we Lwowie w drukarni **Kornela Pillera.**
Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.
Ekspedycja i prenumerata miejscowa w Administracji „Gazety Narodowej.“

NA STEPIE.

Pomówka kozacka

przez

Paulina Stachurskiego.

III.

„*Oj Sicz maty! oj Sicz maty!*
Czym tebe wytaty?
Szczyroju duszoju,
Dobroju zbrujoju!“

Tak kiedyś śpiewali kozacy o swojej siedzibie.

A nu, chodźmy i my do Siczy!

Na stepie słobody, za niemi wody Dniepru, a tu — Sicz kozacka.

Najpierw idą kramy — cały bazar, a cały żydowski!

Wiedziała dusza kozacka, że ją żyd odda na pohybel, a przecież bez żyda i kozakowi było nieporadnie. Biesowskie nasienie! tak się umie wnęcić, tak się obleśnie wwinie, i jak pjawka uczepi człowieka — śsie krew serdeczną — a ty nie wiesz jak sobie dać rady, żeby się odczepić!

Żydy handlują z kozactwem. Co rozmaitego dobytku przeszło do ich rąk nieczystych za marność — nie rzadko za kwartę sywuchy!... Kozak złota nie cenił, bogactwo było dlań niczem. Wrócił z wyprawy — zaczął hulać... Oddał złoto, srebro... oddał zdobyte na bisurmanach klejnoty, kamieniami wysadzane siodła i czapraki, zdjął ze siebie adamaszkowy kontusz i pas złotem lity... pozostał tylko z szablą, a przebudził się w chołoszniach i dziekciowanej koszuli. Wszystko przehulał! wszystko oddał żydom!

To chciwe złota stworzenie! I wie, że za byle co djabli wezmą jego pohaną duszę... wie, że kozactwu doczysta uprzątnąć żydów — to plunąć! a przecie lezie aż pod sam Kosz, i za dukata nadstawia gardło... *Pohany* naród powiedziano!

Kramiki drewniane, nędzne, z miodem, sywuchą i jabłecznikiem, a w beczkach stoją kwaszone ogórki.

Nie jeden kozak da garść czerwońców za trochę ropy ogórkowej. Kto miarę przebrał, ten jej i w ręku nie ma: wyjmie garść — taj rzuci żydowi w oczy! Złoto rzecz żydowska — a kozakom, aby wola, ta pochody na bisurmanów! — Tam zawsze znajdzie się *pôżywa* dla kozactwa!...

Gromadami rozsypało się kozactwo pomiędzy kramy. Ci palą lulki, tamci piją sywuchę; ten opowiada, a tamten głośno wyhukiwa; inny położył się śród drogi i smacznie chrapie s e r d e g a, a tamci wzięli żyda między siebie: łyżką biją w kocioł, niby grają — a z żyda pot się leje — tańczy! tańczyć musi, bo inaczej wezmą go djabli, wezmą i złoto, które wytumanił od kozactwa!

W dobrą my trafili porę.

O staję widać zbliżających się kozaków z muzyką, śpiewami, tańcem. A jaki taniec!... Po za Siczą już takiego nie ma.

Dzisiaj hula u o s t a n n i e Semen Czoporyj.

O nim dużo dałoby się powiedzieć... Takich jak on było tylko dwóch na Zaporożu: Seńko Komacha i Artem Hrynia. Chwaty na całą Ukrainę i dalej jeszcze! Do tańca tam z nich każdy, niby miał djabła w nogach! a jaka gdzie była mołodyca na futorach, to nie minęła trzech holtiapaków. A sywuchę pili wiadrami! no i w pochodach czort im nie dorównał. Bywało gdzie najtrudniej: czy wdrapać się na mury, czy przejść lochem — djabli ich tam zawsze wynieśli, i nie było wrogom *pomyłowannia!* A tak się we trzech kochali jak rodzeni bracia, i we trzech zostali p o b r a t a m i. Rzecz niezwyczajna, ale bez siebie żyć nie mogli!...

A przecie przyszło chwatom na pohybel.

Jakoś w czasie bieganiny za tatarem po stepie, czort zaniósł kozaków do karczmy na rozstajnej drodze. A szynkarka-ż tam była — chyba samym biesem! Oczy u niej czarne jak smoła, a włosy — że jak chciała, to okryje się nimi niby lasem... Oj! przywiodła-ż ona na pohybel kozaków!

Grzech ciężki, a bankietowali u niej trzy dni i trzy noce; wypili bez liku, taj popili się — pierwszy raz w życiu... Zgubiłaż ich czarownica — choć prawda, nie odprosiła się od gościny kozaków... którzy, ot może po pjanemu, zabili jej męża.

Przebudził się Semen — oj licho! Pohańców pełna karczma, a szynkarka daje przewód biesom, i z okiem zaognionem woła:

— Zgubili mnie młodą — niech że sami przepadną!

Huknął Semen na pobratów — śpią zalani sywuchą i miodem czarownicy, a za chwilę ciepła ich krew zalała... Semen jęknął i upadł bez pamięci...

Później rozpowiedzieli mu kozacy co się stało w karczmie: naskoczyli tatarów wtedy właśnie, gdy Semen padł zemdlony — pobili jak należy... Ta dziwo z tą szynkarką czarnooką! Krzyknęła: ›Zgubili mnie młodą, zabrali moje szczęście całe!‹ porwała głownię z pieca, i cisnęła na strych karczmy. Wiatr był wielki, karczma spłonęła, jak wiecheć słomy — ledwie z duszą uciekli kozacy... a szynkarka została z trupami!

Poznał Semen, że ciężki grzech wziął na swoją duszę, że sywucha zgubiła jego pobratów, zgubiła dusze ludzkie — i przysiągł, że dwa lata nie weźmie jej do ust za grzechy swoje, cztery za grzechy pobratów, jeden rok pić nie będzie za śmierć szynkarza i szynkarki, a po siedmiu latach na śmierć się zapije, żeby i jego, jak pobratów, zgubiła sywucha!

I dotrzymał rycerskiego słowa. Siedm lat jak jedna godzina, nie wziął do ust kropli sywuchy... Odpokutował winę pobratów, a teraz kara ostatnia...

Przez lata pokuty nazbierał kozak złota czy mało — będzie zaco sprawić pogrzeb kozacki.

Horował siromacha siedm lat jak siedm długich wieków po stracie swoich pobratów — teraz pora zejść się z nimi, gdzie każą.

Pokłonił się Semen starszyźnie i kozactwu, dużo-dużo złota dał Bohorodycy, co pilnuje kozaków w koszowej cerkwi; co było ze zbroi i rynsztunków rozdał towarzyszom; konia-sokoła przeznaczył najdzielniejszemu z jeźdźców siczowych, i czyja wola, zaprosił na swój pogrzeb.

W sajetach, ubrany jak wojewoda, stanął przed beczką sywuchy. Koło niego dwóch czurów niosą worki złota; co było grajków w Siczy, stoją opodal; tu co najlepsi tancerze, a tam już reszta kozactwa.

Przeżegnał się Semen trzy razy, nalał kwartę sywuchy, i wypił. Na ten znak zagrali grajki; kto żył zaczyna toczyć z kufy, i rozpoczął się pochód pogrzebowy.

Grają grajki skocznego, kufy z wódką toczą się za orszakiem. Semen pije i innych zaprasza; garści złota sypie na obie strony, i wyhukiwa z innymi, a dalej puścił się w tany... Za nim co żyje i sobie w prysiudy! — Przed śmiercią słuszna zażyć wesela; a kto na Siczy zabroni kozakowi jak chce umierać?...

W chwili kiedy Semen wchodził z muzyką i tańcami na bazar, z przeciwnej strony nadjechali stepowiki, a z nimi Ilnat i Dmytro.

Cztery dni i cztery nocy umierał Semen zapiciem, a umrzeć nie mógł. Od kosza do bazaru, ledwie nie co krok ktoś przyzostawał na wpół żywy z przepicia, i spał bez pamięci, a stary kozak jeszcze się trzyma... Prawda, że dwóch go podpiera, ludzi już Semen nie poznaje, ale jeszcze nastawia czarkę, i z biedą do ust ją donosi.

Przed spotkaniem wracającej ze stepu hołoty powalił się na ziemię; ale to nie wadzi: wyraźna wola kozaka była, by weń póty lano sywuchę, aż się pokaże, że nie żyje. Niech znają ludzie jakiego zła narobił trunek i jaka za niego kara!

Smutno się zrobiło nowoprzybyłym: jakoś im to nie przypada do myśli, by człowiek taką ginął śmiercią; ale nie im radzić nad czem postanawia kozactwo. Stoją z boku, i patrzą no to, co się dzieje.

A dzieje się — jak się już nigdzie dziać nie będzie. Kozacy pijani, piją, tańczą — a płaczą, bo to nie wesele, to pogrzebowa stypa: umiera kozak chrobry, umiera pokutnik za dawne grzechy — umiera stary siczowik!... To wesele tylko na oko, ten taniec wieje grobem, i w okrzykach przebija żałość smętna...

Stepowiki to rozumieją, i pozwieszali głowy ku piersiom. Smutno i młodym przybyszom.

Semen leży na ziemi w sajetach jak do ślubu; twarz pobladła i smutny ma wyraz, oko kiedy niekiedy wyjrzy z pod powieki, i z piersi wyrwie się westchnienie... kona.

Grobowa nastała cisza... ważna chwila — p r z e s t a n a w i a się dusza — dusza kozacka!

— Skonał! — rzekł jeden z trzeźwych kozaków. — Skończył swoje. *Wicznaja jomu pamiat'.*

Nie jeden zapłakał jak dziecko, a w oku każdego niby łza... przypadli do trupa, całują go.

— *Proszczawaj brate! wicznaja tobi pamiat'* — wołają. Smutno na sercu..

Trupa podnieśli na mary, i głośniejszy wszczął się rozhowor.

Nieboszczyk żądał, by na większe pokaranie za grzech i zgubę pobratów, ciało jego nie pogrzebać w ziemi świętej — ale wrzucić rybom na strawę; temu sprzeciwiali się kozacy.

— Grzech — wołali — by święta ziemia nie przykryła takiego jak Semen kozaka! Dość z niego pokuty! *hodi* kary po śmierci...

Ale wola umierającego święta.

Starsi wytłumaczyli kozactwu, że grzech jej nie spełnić, a przekonali dowodnie pytaniem: kto weźmie na duszę, gdy pogrzebany kozak upiorem będzie musiał błąkać się po świecie, jeśli winy nie odpokutuje?

— Prawda! — prawda! — zawołali przekonani. — Poszanujmy wolę umierającego!

W uroczystym pochodzie ruszyli kozacy nad Dniepr rzekę. Trzy razy zawołali: *Wicznaja pamiat'*, każden przeżegnał trupa, i opuścili go w wodę.

Ciało kozaka kilka chwil trzymało się na powierzchni; wir porwał trupa, i ślad po Semenie zginął...

Orszak pogrzebowy w milczeniu odszedł ku bazarom.

Nad Dnieprem zostali młodzi przybysze: obadwa zadumani, i starszy stepowik który opodal patrzył na nich z uwagą.

— Czy po sercu zwyczaj kozacki? — zapytał po chwili.

— Dziwno! — odrzekli młodzi.

— Takiego dziwa napatrzycie się tu dowoli. Chodźmy do Kosza.

. . . .

Za bazarami — Kosz. Czterdzieście długich kureni legło na równinie; pośrodku cerkiew Bohorodycy, na wałach żelazne harmaty; ale straży nie ma żadnej: w Siczy wszyscy swoi — poco darem wartować!

Przed jednym z kureniów stoi gromada starszych kozaków, o czemś rozmawiając. Przed nimi zatrzymał się stepowik z młodymi towarzyszami.

— *Pokłon towarystwu i wam pane Atamane* — rzekł, zlekka dotknąwszy czapki. — Ze stepu w dobry czas do Kosza. A tu dwóch chwatów wiodę na *siczowych.* Czy będzie wola wypróbować?

Ataman obejrzał nowoprzybyłych.

— Na oko niczego! — mruknął. — Ta nie lada z żelaza kuta ostra szabla, i nie każdemu do Kosza, kto ma brzuch i gębę!...

— Jest i ręka *duża* *) *wnada* do kozactwa i szczera ochota. Prawda? mołojcy!

— Powiedziano! — odrzekli młodzi.

— Chrzczony? — zapytał jeden ze starszyzny.

*) Mocna, silna.

— Obydwa — odpowiedział stepowik. — A nam by teraz w kumy do chrztu innego!...

— A no, to czekać nie ma poco. Obaczymy ich mołodztwo na oczy. Do Dniepru im z pokłonem!

— Ta i w porę przed zachodem słońca. Chodźcie chwaty na chrzest kozacki!

Nie wiele da się tu mówić, bo nie ma o czem. Biesowe dzieci! jeden za drugim przepłynęli porohy; jeden jak drugi wyszedł żyw z kąpieli...

Teraz inna próba, a nadała się jak potrzeba.

Jest koń po Semenie — orzeł: zabrał go nieboszczyk z pod sułtanowego wezyra. Nie ino na Siczy, a może i w świecie całym nie ma już takiego! Cały — niby najpiękniejsza panna... ogień — przysięgniesz, że tak i bucha z nozdrzy... Ważny konik! a dostanie się, jak chciał nieboszczyk, najlepszemu z jezdzców.

— Stawajcie chwaty do zawodu! — rzekł Ataman do młodych kozaków. — Obaczymy jaka w was siła na czystem polu...

A im w to i graj — kontenci! Jeden drugiego tylko mierzy basem, klnie w duchu, i dosiadają koni.

Na szerokiem polu sławnych jezdzców ze dwie sotnie. — Każdy chce nie tak Semenowego konia — choć i tym nie hordować — jak sławy pierwszego!

W kozactwie natura niesprosta: każden na pierwszego! a tu jak nie staraj się — tylko jeden zwycięży...

Ciężko będzie młodym zaczynać z Siczowymi; ta grzech nie probować!...

Ze starszyzną przyszedł Koszowy; stawił się i pisarz z piórem i kałamarzem — będą sądzić kto lepszy!

Wyznaczono metę, poustawiano przeszkody, najtrudniejszą wybrano jazdę... *Panoteć* siczowy pobłogosławił — i ruszono!

Hospody! Świat się skończy, a drugiej takiej jazdy nie będzie na świecie! W oczach się mieni, w głowie kręci, zapominasz o wszystkiem!... Dwie sotnie mołojców — dwieście wiatrów i błyskawic! lecą... Ziemia im z pod nóg ucieka; zachodzące słońce z lęku chowa się za chmury... Strach!

Jezdziec wpada na jezdzca — co dziesiąty kaleka, i śmierci zażył nie jeden...

A komu to w głowie? — Cały Kosz, patrzy na tych, co mkną u przodu. Niebo i ziemia, Dniepr siwy i dzikie ptactwo — wszystko patrzy na jezdzców!...

Coraz mniej u przodu, coraz więcej zostaje na zawadach... Już ledwie dziesięciu... Oho! — padł jeden i drugi... tylko pięciu goni... I tych nie ma — leżą na stepie... Dwóch dobiega mety... dwóch, czy djabły wcielone! a reszta leży pokotem, albo ustąpili na boki!...

Nie tak warczy chmura, gdy się ma zejść z chmurą; nie tak kra na Dnieprze zgrzyta twardym zębem, jak warczy i zgrzyta, ogniem piecze i ścina lodem w duszy tych dwóch, co dobiegają mety.

Pędzą ostatnim tchu wysiłkiem. Przed metą spojrzeli na siebie »Ty!« wyrywa się z obu piersi, a straszny krzyk pociskiem godzi w przeciwnika:

— Giń! przepadnij!

Bies znowu na opętanie sprowadził razem Dmytra i Hnata!...

Nie zabili się słowami, jak chcieli — lecą...

Hej, poszło-ż po biesowsku!

U samej mety padły dwa konie — równo na mierze... a oba kozacy rozciągnęli się na ziemi....

Czort wziął nagrodę! bo na dwoje Semenowego konia nie przedzielą.

Wstali kozacy; ale dzielny koń nie wstaje, a żal niemały wiernego druha — rodzonego brata!... Sławnie skończył — a skończył!... I łza zakręciła się w oku kozaka; smutni stoją nad pomarłymi końmi...

Z zadumy wywiodły ich głośne okrzyki, strzały i wołania w cześć zwycięzców.

Sam Koszowy objął obu mołodzców i pocałował od serca; a cóż dopiero inni! ledwie nie roznieśli chwatów, z serdeczności!...

Cześć wielka, sława nie mała — ale jak pogodzić sprawę?... Konia nie rozdzielić, kozaków nie złożyć do kupy...

A od czegoż rozum starszyzny i Koszowego?

Koń Semenowy nie dla nich; ale już nikt inny mieć go swoim nie będzie... Niech i sto lat stoi na owsie, póki swoją śmiercią nie zginie — nie będzie należeć do nikogo!

Dwom chwatom wybrano najlepsze konie ze stadniny, dano każdemu po janczarce tureckiej i po parze srebrem nabijanych pistoletów; a dalej jak się rozochociła starszyzna — pyta: czego chcą jeszcze?

Pierwszy odpowiedział Hnat.

— Kiedy mnie czort sprowadził z ciężkim wrogiem, a rzeki i morza przedzielić od niego nie chcą — niechaj dzieli kureń... Nie jemu jeść z jednego ze mną kotła i pić z jednej czarki.

— A ty mołojcze? — zapytał Koszowy Dmytra.

— Po jego słowie! — odpowiedział zapytany — *i propadʼ ty!* żebym na oczy pohańca nie widział!

— Wasza wola! — ozwał się Koszowy — a jeżeli ochota, to powiedzcie: jakiego czorta życie wam w niezgodzie?

— Takich dwóch chwatów — dorzucili inni — niechby drużbą doszli do bractwa.

— *Hnate! Dmytre!*

Jeden i drugi potrząsa głową.

— *Se mij woroh!* — mruczy. — Poszanuj głowę, i nie właź mi w drogę!

Zawzięty naród! Ta nie poradzić: nie chcą drużby — niech robią co chcą, na to oni kozacy!... A szkoda! chwaty, że trudno o takich... (C. d. n.)

Skały w Bubniskach.

Zawsze stoisz jednaki: poważny, wspaniały,
Chociaż dźwigasz na twoim grzbiecie wieków tyle,
Choć setne pokolenia spoczęły w mogile —
Ty urągasz zniszczeniu olbrzymie zgrzybiały!

Z ziemi łona dobyty potopu wodami,
Później trzykrotnem echem wtórzące sklepienia
Służyły bogom chrobrych słowian za schronienia,
Ciemne pieczary brzmiały kapłanów pieniami.

Płonącą pierś przykładam na martwe twe głazy,
Bluszczem z ścian twoich wieńczę moje młode skronie,
Patrzę — może z przeszłości zabłysną obrazy,
Słucham — z minionych wieków może odgłos wionie,

Wstanie świetna drużyna praojców bez skazy...
W mglistej przeszłości dusza rozmarzona tonie.

Do . . . . .

O luba! kocham, ach kocham ciebie!
Myślą i sercem wiecznie przy tobie.
Z tobą mej duszy błogo jak w niebie,
Bez ciebie sercu smutno — jak w grobie.

Pamięć o lubej dodaje siły.
Z tobą ja zdołam zwalczyć przeszkody,
Pieśnią o tobie wzruszę mogiły,
A żarem serca roztopię lody.

Wszystkom potępiał wzgardy słowami,
I wolny żyłem — orzeł w obłoku...
Dziś zachwycony twemi wdziękami
Swiat mój zamknąłem w jasnem twem oku.

Przechadzka.

Słońce już na zachodzie utonęło w ziemi,
Zmrok wieczorny opadał na lasy i niwy;
Każdy obok swej miłej — a każdy szczęśliwy
Wychodzą na przechadzkę. I ja szedłem z niemi.

Szedłem, bo ona wsparta szła na mem ramieniu.
Wiatr mi do ust przyganiał sploty jej warkoczy;
Często ku mnie zwracała swe błękitne oczy.
W oczach miłość czytałem — byłem w zachwyceniu!

Mybyśmy tak przez wieczność byli szli oboje,
Chwytałem oddech, czułem jej dłoni ściśnienia,
Uroczych myśli w głowie rozsnuły się roje.
Byłem szczęśliwy — przy niej, wśród mego marzenia.

Ona odeszła — wzięła z sobą szczęście moje:
Teraz sam — pamięć ze mną tylko, i cierpienia!...

Łucjan Tatomir.

Ona zrozumi.

Raz na ziemi byłem w niebie,
Gdyś mi rzekła: „Kocham ciebie.“
Uwierzyłem... Szkoda wiary!
Gdy cię kocham więcej co dnia,
Ty — zdradziłaś do tygodnia!

Myśl mi przyszła: skończyć strzałem,
Bo cierpiałem — bo kochałem...
Lecz dziś pędzę precz te mary!
Kula w świat mię w wiedzie trupi
A ty powiesz: „Jaki głupi!...“

. . . .
. . . .

Gdy widzę miłość mą w poniewierce,
Chce mi się pytać: Czy masz ty serce?
Ach prawda, masz!
Wszak przy mej piersi tak ono biło,
Tyle mi cudnych rzeczy mówiło...
Te chwile znasz!

Dzisiaj pierś moja cicha, milcząca.
Zmartwiała w sercu miłość gorąca.
Czy nie żal ci?...
Ach, odwróć oczy! ustąp z pamięci!
Nowych w mej duszy nie wzbudzaj chęci,
Nie budź ją — śni...

. . . .
. . . .

Gdy przeżyję me marzenia,
Z życiem skończę me cierpienia —
O, przyjdź na mój grób!
Tam powita cię twój miły:
Wyjdę z chłodnej mej mogiły,
Powtórzymy ślub.
. . . .

PIERWSZA MIŁOŚĆ KORREPETYTORA.

Luźne kartki zebrane
przez
AURELEGO URBAŃSKIEGO.

I.

Że też są ludzie, którzy bez końca i bez końca mówić potrafią, mówić potrafią słodko, czule i śmiało, choć Bogiém a prawda w całej konwersacji ani loiki, ani sensu — a takim jest n. p. młody pan Zefiryn Rajmund dwojga imion Wichrowicz, świeży prosto z igły urzędniczek, u którego jedno słowo goni drugie, i tak bez ustanku, tchu i wypoczynku. Właśnie byłem w uniesieniu i miałem wiele czułego, pięknego, i przedewszystkiem rozumnego na języku... nie pamiętam zresztą co takiego, lecz jestem przekonany, że to było coś wzniosłego — wtem... Ale, zapominam o najważniejszej rzeczy, że siedziałem właśnie przy pannie Barbarze...

Panna Barbara, Basia, Basiunia, Siunia, była ulubionem i jedynem cackiem pana Chrapiełły wice-burmistrza naszego miasteczka, pana Chrapiełły, grubego i sapiącego, którego nos kanoniczno-fioletowego koloru znany był w całej okolicy, a którego zaciętość i nazwisko zdradzały pochodzenie gdzieś od litewskich borów. Otoż siedziałem przy pannie Barbarze Chrapiełłównie, i miałem już coś wzniosłego na języku, wtem... Dodać muszę *notabene*, że jestem u pana Chrapiełły najporządniejszym korrepetytorem, jakiego kiedy tylko ziemia nosiła, bo nie chwaląc się, *primo* ukończyłem *examen maturitatis excellentissime*, *secundo* liczę się do najwyborniejszych algebrzystów, *tertio* nie zabiłem nigdy jeszcze ani jednej muchy, ani jednego pająka, *ergo* mam czułe serce i szlachetny umysł, *quarto* nie palę tytoniu, nie siedziałem nigdy jeszcze na koniu i nie piłem najprzyzwoitszych trunków, a nakoniec w zimie o dziewiątej, a w lecie o dziesiątej wieczorem leżę już spokojnie i poważnie w łóżku z kochanym Krawczykiewiczem w ręku i, co więcej, nie zaglądam nigdy kobietom w oczy... Otóż nie! *Casus fatalis* chciał, że zajrzałem raz tylko, raz jedyny głębiej w oczka panny Barbary Chrapiełłównej, zamiast w sekstern jej braciszka Jacusia, mego dyscypuła, który między nami powiedziawszy wielki jest hebes, — i otoż mnie macie

po uszy zako... brrr! Co na to powiedziałby pan wice-burmistrz!...

Otoż siedziałem przy niej, mając już coś wzniosłego na języku; prawda, przypominam sobie, coś ciekawego: o pogodzie i goracu, o słońcu i krzaku berberysowym, co mi rozdarł pantalony — — wtem... (ach! raz przecie pozbędę się ciężaru, co mi piersi tłoczy) wtem wpada ów nieszczęśliwy pan Zefiryn Wichrowicz, skacze jak wróbel na nitce, wykręca się na pięcie, całuje ją w ramię, w samo ramię, przysięgam, bo widziałem kapitalnie z arytmetyczną dokładnością!... nuci sobie coś pod nosem, porywa bez ceremonji krzesło, siada między mną, a panną Barbarą, nędznik! i obraca się do mnie... dość, że nie twarzą. Zbrodniarz! Nieuk! — A panna Barbara?... Dopiero co kwaśna i małomowna, staje się naraz mówiącą, wesołą; jakby dopiero co wstała przebudzona ze snu. — — A ja? Ja chciałem dać Wichrowiczowi do poznania jego nieskromne zachowanie, i wstawszy miałem już wiele, bardzo wiele na języku; ale jakoś mimowolnie wziąłem za kapelusz i — wyszedłem...

Miły Boże! Wprawdzie nie potrafię wykręcać się na pięcie, bez obawy wywrócenia stoliczka, lub zerwania firanki; wprawdzie nie rozumiem się na aplikowaniu całusów i do tego w ramię, dalibóg w samo ramię, półtora cala nad — nad obojczykiem... wprawdzie nie nauczyłem się nigdy w życiu żadnej piosenki, a ze znanej o kotku filucie tyle tylko pamiętam, że wlazł na płotek i mruga; wprawdzie nie mam tyle cywilnej odwagi, żeby wziąść za krzesło bez żenady i usiąść ni ztąd ni zowąd przy kobiecie, — jednak za to pan Zefiryn jest trzpiotem, pan Zefiryn jest pędziwiatrem, wiercipięta i ani wyobrażenia nie ma o algebrze, a że nawet sumować i odciągać bez błędu nie potrafi, o to się założę...

A jednak panna Barbara nie jest złą panną Barbarą. Ona wybiegła za mną, i rzekła mi na schodach słodziutkim głosem: ›Do widzenia panie Szczęsny!‹

Zapomniałem bowiem powiedzieć, że nazywam się Szczęsny. — Szczęsny!... O, Szczęsny nieszczęsny! o nieszczęsny Szczesny! Coż byś miał w takim przypadku za pociechę, gdyby nie przyjacielski Krawczykiewicz, nie kochana algebra, nie poczciwe logarytmy?... Ja też wracając do domu rachowałem sobie po drodze tak: wyrzeczone z uśmiechem ›do widzenia,‹ to *plus*, wielkie *plus*... wdzięczenie się do tego trzpiota, to *minus*, wielkie *minus*... *plus* i *minus* znosi się, zostaje *nula*; a zatem jestem jak byłem, w tej samej pozycji, w tem samem stadjum. Niemasz nad algebrę!

›Do widzenia panie Szczęsny!‹ — A ja powiedziałem sobie w duszy: Żegnam pannę Barbarę, żegnam pannę Barbarę na wieki — i poszedłem do domu na kolację — z tęsknem sercem, niepewnym krokiem, a wszystkie sztachety i kołki płotów po drodze zdawały mi się być nieskończonym rzędem samych olbrzymich pionowych minusów!

II.

......Co? — Ja miałbym pójść do domu wice-burmistrza? Otoż nie! Zostałem pogardzony, wyśmiany. Hebes Jacuś szczypie mnie za nos, ciągnie za ucho, i nie pojmuje nażycie najprostszego w świecie: dwa razy dwa, jest cztery... Nie, nie pójdę! — Pan Chrapiełło w kącie burczy mnie, że Jacuś nie robi postępów, a nos jego z fioletu przemienia się w barwę niebiesko-zieloną... Nie, nie pójdę! — Panna Barbara uśmiecha się do Wichrowicza, a śmieje się ze mnie... Nie, nie pójdę! — Ale Jacuś hebes, powtarzam, ale Jacuś ma zdawać ekzamen; możeby przecie... Ale nie!... Jednak pan wice-burmistrz sapie bardzo groźno, przechodząc pod mojem okienkiem, a nos jego staje się ciemno-granatowym... Co tu robić?... Ale jednak panna Barbara rzekła mi: ›do widzenia...‹ A ›do widzenia‹ znaczy tyle, co: chcę cię ujrzeć jak najrychlej — dziś może jeszcze — za godzinę — zaraz, natychmiast. — — A ›do widzenia‹ znaczy tyle, co: nie chcę już patrzeć na tego trzpiota, tego wiercipiętę, nie pozwolę Wichrowiczowi usiąść między nami, nie podam Zefirynowi pulchnego ramienia do ucałowania, nie będę śmiać się z jego dowcipów, gdy ciebie, drogi mój algiebrzysto, zacny mój matematyku, nazwie złośliwie ułomkiem... Ja — i ułomek! Śpieszę do lustra — Jestem prosty jak strona, tylko trochę przygarbiony od ciągłego zajmowania się matematyką. — Oczy mam niebieskie, jasne, trochę wpadające w siwo-bure, ale to nic nie szkodzi. Nos mam rzymski, trochę zanadto zakrzywiony, ale to oznaka genjuszu. Włos mam jasny, wprawdzie zlekka w tyle wyłysiały, ale to z głębokiego myślenia... i t. d., i t. d. Ja i ułomek! — Potrącam Krawczykiewicza, rzucam nań Mocnikiem — chwytam za kapelusz — i wybiegam na korepetycję do hebesa Jacusia; ale hebes Jacuś ma ładną siostrzyczkę, a ta ładna siostrzyczka nazywa się panna Barbara, a ta panna Barbara powiedziała mi: ›do widzenia!‹ — Ach!

III.

— Dobry wieczór panie Szczęsny!

— Dobry wieczór pannie Barbarze!

— Czy nie wstąpisz pan po lekcji do nas na górę?

I ja wstąpiłem po lekcji, na górę. Wszedłem... i pocałowałem ją w rękę, którą mi prawie do ust przytknęła; pocałowałem, nie wierzycie? — słowo honoru!

Dowodem tego mokra chustka, którą przyniosłem do domu; ale nie, nie przyniosłem: roztargniony, rozgorączkowany zgubiłem ją po drodze. Kto ją znajdzie, uwierzy.

Otoż, jak powiedziano wyżej, pocałowałem ją w rękę... Krzesła koło niej nie postawiłem wprawdzie, lecz ona uprzedzając mnie przysunęła je koło siebie... Usiadłem, było więc już zapóźno skręcić się na pięcie jak Wichrowicz, ale — myślę sobie — zanucić piosnkę, jak on, byłoby na swem miejscu, więc zaświstałem pod nosem...

— Dla czego pan gwiżdżesz?

Dla czego? Jak można pytać: dla czego? Pomyślałem więc nad tem dłużej, by nie strzelić bąka, i rzekłem, że to mój zwyczaj... ale zazwyczaj tego nie czynię...

Ona zaś milczała i robiła pończoszkę...

Ja także milczałem; ale nie robiłem pończoszki, czegobym zresztą nawet nie potrafił, a że coś koniecznie trzeba było powiedzieć, ozwałem się słodkim głosem:

— To zapewne nie będzie tak zwana pończoszka, tylko kaftaniczek nocny dla panny Barbary, czy prawda?...

Na to nie rzekła panna Barbara — nic, bo zarumieniła się; dla czego? Dalibóg nie wiem; ale przecież powiadają, że panny często rumienią się, siedząc przy młodych mężczyznach... Ja jestem młody mężczyzna, skończyłem bowiem ledwie 27 lat, mówię: dwadzieścia siedm, panna Barbara siedziała zaś przy mnie, *ergo* zarumieniła się...

Dla czego są ludzie na świecie, których nieszczęsne *fatum* wiecznie prześladuje? Znałem starego podagrzystę, który ile razy chciał wyjść na ulicę, nie mógł ruszać nogami; byłem sąsiadem starej panny Filomeny, której, ile razy chciała mnie poczęstować kawą, tylekrotnie skipiała się śmietanka (tak przynajmniej mówiła); widziałem psa, który ile razy go kto pogłaskał, nie omieszkał chwytać zaraz za łydki... Ja wprawdzie nie cierpię jeszcze na podagrę, choć mi czasami coś w nogach strzyka; nie miałem nigdy skipiałej śmietanki, bo nie jestem amatorem kawianego nektaru; nie byłem nigdy jeszcze pokąsany przez psa, choć mnie nie raz zato podrapała kotka wujanci dobrodziejki i Jacuś mimochodem nie raz uszczypnął — ale przedstawcie sobie państwo moje specjalne i indywidualne *fatum*, że ile razy siedzę przy pannie Barbarze, mając coś wzniosłego i pięknego na języku, tyle razy wejdzie niespodzianie niegodziwy

VI.

Pan Rajmund Zefiryn Wichrowicz, który n. p. tym razem zepchnął mię niedelikatnie, zajął moje krzesło, szturknął mnie w bok, zrzucił okulary (zapomniałem dodać, że noszę takowe, ciemno-brunatnego koloru), wytrącił kapelusz, wywrócił laskę, i w końcu tak nieprzyzwoicie nastąpił na mój nagniotek (mam jeden olbrzymi na małym palcu u lewej nogi, który wycinać sobie każę co tygodnia u zyzowatego Lajbka pod »dziurawym orzechem«), a nastąpił z taką niedelikatnością samym końcem lakierowanego bucika, że aż krzyknąłem i syknąłem z bolu.

— Co to, co to panie Szczęsny?

— Nic panno Barbaro, nic... przypomniałem sobie... druga korepetycja... bardzo ztąd daleko... u pani pocztmistrzowej... ten tego... — Wybiegłem; ale widziałem jeszcze bokiem koło drzwi, jak pan Rajmund Zefiryn, dwojga imion, Wichrowicz, całował pannę Barbarę wiceburmistrzównę z Chrapiełłów, w ramię półtora cala nad — nad obojczykiem!... poczem słyszałem za sobą długi duet homerycznego śmiechu, który brzmiał mi w uszach jak fałszywie rozwiązane algebraiczne pensum, a ciągnął się za mną długo, długo, jak rachunek łańcuchowy bez końca.

Panna Barbara nie rzekła mi tym razem »do widzenia;« to *minus*, wielkie *minus;* panna Barbara wyśmiała mnie z Wichrowiczem, to *minus*, wielkie *minus;* ale panna Barbara zaprosiła mnie do siebie, ale panna Barbara podała mi paluszki do ucałowania, to *plus*, potężne *plus*, olbrzymie *plus*... jedno z drugiem znosi się i zostaje *nula!* Więc znowu jestem w dawnem *stadium*. Ani kroku naprzód! — — Ach!! — —

Minął znowu tydzień... Nie poszedłem na korepetycję — nie widziałem panny Barbary... Powiedziałem, żem chory — położyłem się w łóżko z Krawczykiewiczem i rachunkiem różniczkowym w ręku, i przemyśliwałem całe dni siedm! Ktoś pukał przedwczoraj — nie otworzyłem — poznałem, po chodzie, kulawego hebesa Jacusia; ale nadaremne twoje stukanie i hałasy... Panna Barbara mnie wyśmiała — kulawy Jacusiu bądź zdrów! — Minął więc tydzień... A przecież tydzień nie widzieć panny Barbary, to tyle znaczy, jak zastawić na tydzień logarytmy, gdy ich właśnie najbardziej potrzeba. Minęło więc dni siedm! t. j. godzin sto sześćdziesiąt i ośm! — t. j. minut dziewięć tysięcy i jeszcze ośmdziesiąt! O panno Barbaro! Pójdę... zobaczę z daleka... wrócę... (C. d. n.)

Pogrzeb ś. p. Karola Szajnochy.

Pismo nasze było już przygotowanem do druku, gdy doszła nas wieść boleśna o skonie Karola Szajnochy; mogliśmy więc tylko w zeszłym tygodniu podzielić się z czytelnikami krótką wieścią o klęsce, którą kraj nasz, przez śmierć niezapomnianego historyka, został dotknięty.

Pragnąc uczcić pamięć zmarłego obszerniejszym artykułem, dzisiaj poprzestajemy na kilku słowach, donosząc o pogrzebie ś. p. Karola.

Odbył się on dnia 13. b. m. Po odśpiewaniu mszy przez Towarzystwo muzyczne w kościele OO. Bernardynów, wystąpił ks. Czerwiński kaznodzieja z prawdziwie obywatelską mową, w której gorącemi słowy odmalował wielkość straty, jaką kraj nasz ponosi przez śmierć Szajnochy, i skreślił pokrótce żywot tego męża wielkiej zasługi publicznej i rzadkich cnót domowych. Ks. arcybiskup oddał cześć zmarłemu przez pokropienie zwłok jego. J. E. Namiestnik, książe Marszałek, wielu panów szlachty było obecnych w kościele, przepełnionym czcicielami zmarłego, i kilkotysięczny pochód osób wszelkiego stanu odprowadził zwłoki wielkiego człowieka na cmentarz Łyczakowski. Pan August Bielowski pożegnał zmarłego mową, wygłoszoną z przejęciem się, i smutni powróciliśmy do domów.

Smutni! bo nie widzieliśmy w obrzędzie pogrzebowym tej uroczystości, jaka słusznie należała się mężowi tak wielkich zasług jak ś. p. Karol.

Nieboszczyk pracował dla ojczyzny. Polska cała uczuje głęboko jego stratę — a oto najbliżsi nie pożegnaliśmy go tak, jak na to zasłużył...

Liczniej, szerszem kołem mogli, powinniśmy byli odprowadzić do grobu zwłoki wielkiego męża; gdy nie mogły dalsze części Polski, to Galicja, to Kraków powinny były czynem okazać, że w śmierci Szajnochy ponieśliśmy większą stratę, aniżeli ubytek jednego z pośród nas. W każdym innym kraju męża takiego żegnałyby mowy pogrzebowe, kir, udział korporacyj miasta — my zaledwie zdobyliśmy się na kilka słów pożegnania, wyrzeczonych przez człowieka, któremu tem większa cześć się należy, że nie zamilkł, jak inni... A co tych usprawiedliwi? nie wiemy!

Nieboszczyk pozostawił uczniów, którzy mu winni to, czem są dzisiaj — żaden z nich nie pożegnał bodaj kilkoma słowy swego mistrza... Dziwna obojętność, i szczerym smutkiem nas przejmuje.

Duchu Karola! nie świadcz źle o nas! nie chciej być dowodem, że Polska ma wielkich mężów; ale ani ich cenić, ani im oddać wedle zasługi nie umie. Cześć Ci wielki mężu i sława po wieki!

Smutne wrażenie jakie wynieśliśmy z pogrzebu ś. p. Szajnochy, łagodzi się tem, że drogą subskrypcji zapewniono utrzymanie pozostałej wdowie i synowi nieboszczyka, a nadwyżka z sumy zebranej ma być przeznaczoną na ufundowanie stałego stypendjum imienia Szajnochy.

Ze Świata.

II.

Bolonja *dnia 1. stycznia r. 1868.*

(Dokończenie).

Prócz pomników książąt Galicynów i jenerała Grabińskiego jest jeszcze bardzo wiele innych, z których każdy zasługiwałby na baczniejszą uwagę. Jeżelibym chciał pisać o wszystkich, musiałbym przekroczyć o wiele zakres mej dorywczej korespondencji. Pozwólcie zatem, że pomijając tysiące, zajmę się tylko trzema, które z rozmaitych względów są ciekawsze od innych. I tak, naprzeciwko bramy wchodowej, widzimy jakiegoś prałata, wykutego z białego kararyjskiego marmuru, który w leżącej postawie spoczywa na prześlicznie rzeźbionym sarkofagu. Fałdowanie opadającej aż do stóp sukni jest niezrównane, a miękkość ciała tak uderzająca, że zdaje ci się jak gdyby ten prałat był człowiekiem żyjącym, co strudzony całodzienną pracą usnął na chwilę, aby wkrótce powstać nierównie rzeźwiejszym. Sarkofag cały jest upstrzony porozrzucanemi różami i malutkiemi ptaszkami. Niemal każdemu z tych skrzydlatych stworzeń brakuje główki lub skrzydełka. Wiecie zkąd to pochodzi? Oto bogaci Anglicy, których krocie włóczą się każdej zimy po Włoszech, mają ten nieznośny zwyczaj, że nie tylko lubią, lecz uważają nawet za swój najświętszy obowiązek odłamywać, na pamiątkę, kawałeczki marmuru. Biedni! nie wiedzą o tem, że w ten sposób dopuszczają się już nie przestępstwa, lecz zbrodni świętokradztwa w obec sztuki, bo kawałeczek rzeźby leżącej w ich kieszeni nie ma żadnej wartości, podczas gdy brak tego kawałeczka może spaczyć piękność całej rzeźby. Włosi wiedząc o namiętności złotowłosych synów Albionu, podejrzewają ich teraz zawsze i wszędzie. Każdemu zwiedzającemu dają przewodnika, który bacznem okiem śledzi ruchy szanownego lorda, lubiącego chętnie przekraczać siódme przykazanie, chociaż moralność nauki kościoła protestanckiego, do którego on należy, jest pod tym względem nierównie surowszą od moralności katolickiej. Cóż robić, są gusta i guściki!

Stojąc o kilkanaście kroków od pomnika, o którym mowa, zdaje ci się, że prałat wraz z sarkofagiem leży w jakiemś wklęśnieniu, w tak zwanej n i s z y. Zbliżając się, tracisz ułudę, a jeżeli staniesz tuż przed pomnikiem, to się przekonasz, że w murze nie ma najmniejszego wklęśnięcia, i że owa n i s z a była tylko dobrze skombinowanem malowidłem ciemnego koloru. Podobna iluzja podoba się, bo bawi oko; nie dziw przeto, że większość widzów, nie rozumiejąca prawdziwej sztuki, podnosi takie drobnostki do najwyższej potęgi, sądzi bowiem, że po za taką ułudą, nie ma już w sztuce ani prawdy, ani zbawienia. Kiedy przed parą dniami zwidzałem C e r t o s ę w towarzystwie kilku przybyłych tu rodaków, usłyszałem jak jeden zawołał: „Ach! to musiał malować Rafael!" Cóż wy na to? Usłyszawszy podobne zdanie możebyście się zaśmieli serdecznie, lecz ja ścisnąłem usta i zacząłem myśleć — nad czem? Nad przyczyną podobnie zwichniętego gustu... Lecz czy można się dziwić? Nasz kraj biedny nie posiada arcydzieł sztuki, to też i ludność polska nie może wyrobić sobie żadnego gustu. Ci z naszych rodaków, którzy mając pieniądze, jeżdżą po Włoszech, Niemczech, Belgji i Holandji, odwiedzają wprawdzie galerje obrazów, ale tylko dla tego, aby być, lecz nie aby w nich odnieść jaką korzyść, z którą możnaby się później podzielić w swej ojczyźnie. Dobrze jeść, pić i bawić się — oto cel ich życia, a czy prócz zrujnowanego zdrowia, przywiozą co więcej do swej ojczyzny, to ich zbyt mało obchodzi...

Iluzja w sztuce opiera się zawsze na dobrem zestawieniu światła i cieniu. Nie potrzeba być zatem ani Rafaelem ani Tizianem, aby wymalować podobnego rodzaju wklęśnięcie. Tu wystarczy dokładna znajomość perspektywy powietrznej, która wynaleziona przez Brunaleschiego, była w piętnastem stuleciu prawdziwą rzadkością, lecz która dziś jest przystępną dla każdego, co ma jakie takie pojęcie o technice malarskiej. Prawdziwa zaleta sztuki polega w uwydatnieniu części niewidzialnej, w objawieniu charakteru, duszy człowieka, a nie w oddaniu strony zewnętrznej, bo ta będzie zawsze naśladowaniem natury, a nie estetycznem pięknem. Ci co mówią, że jakiś tam Grek był znakomitym artystą, bo tak doskonale wymalował zasłonę przy oknie, że aż jego przyjaciel chciał ją chwycić ręką — zdradzają najzupełniejszą nieznajomość sztuki. Szkoda że tacy estetycy ośmielają się nie raz oceniać cudze dzieła, chociaż nierównie byłoby dla nich lepiej, gdyby zechcieli studjować to, o czem pragną już wyrokować.

W drugim pomniku, do którego chcę przyprowadzić moich czytelników, ułuda uwydatnia się w nierównie piękniejszej formie. Nie jest to już sama tylko gra światła i cieniu, zawdzięczająca kilku barwom całą swą zaletę, — lecz biały jak śnieg marmur, kawał zimnej, nie organiczonej natury, co pod dłutem zręcznego artysty przyoblekł się dziwnie piękną zewnętrzną szatą. Na sarkofagu stoi urna. Obok niej siedzi płacząca kobieta z pochyloną głową, a po drugiej stronie stoi młoda wysmukła dziewica z zakrytą twarzą. Na pierwszy rzut oka mógłbyś sądzić, że dziewica okryła swe oblicze jakąś przeźroczystą gazą, którą zdmuchnie lada wiatru powiew. Tymczasem jeźli wiedziony próżną ciekawością, sięgniesz ręką aby uchylić zasłonę i spojrzeć na twarz tej smętarnej piękności, przekonasz się dotykalnie, że ta zasłona, podobnie jak całe otoczenie jest także z marmuru. Mimo że marmur należy do najcięższych i zarazem najgęstszych kamieni — z pod czarodziejskiej tej zasłony przebija nie tylko każdy rys, ale nawet i dwie drobne łezki, co opadając z oczu dziewicy, spływają jak perły po wybladłych jagodach. Kto nie widział tej rzeźby, ten sobie nie zdoła wyobrazić tego wszystkiego com o niej napisał. Powiedzieć komuś w Polsce o kobiecie wykutej z marmuru, mającej na głowie marmurowy welon, z pod którego przebija łza i rys twarzy, to znaczy tyle co opowiadać o żelaznym wilku, aby między słuchaczami wywołać śmiech homeryczny. Kto nie wierzy, niech przyjedzie do Bolonji, a o prawdzie przekona się naocznie. — Rzeźbę tę przypisują słynnemu artyście — Canovie.

Pomnik trzeci wyszczególnia się nie tyle artystycznem pięknem, ile dziwną oryginalnością. W murze jest mała kapliczka, w niej stoi trumna, wylana z czarnego żelaza, a po obu jej

bokach dwie stojące postacie, wylane z tego samego kruszcu. Przez sklepienie kapliczki, zrobione ze szkła błękitnego, wpada promień słońca, i rozlewa smętne, grobowe światło. W kościołach gotyckich, jest bardzo wiele melancholji, bo znękany duch ludzki 11go wieku, ozdabiał umyślnie swe świątynie różnobarwnemi oknami, aby dzienne światło nie wpadało pełnym strumieniem. Ludzie ówcześni nie chcieli rozrywki, to też w świątyni szukali skupienia ducha, którego nie znajdziecie tam, gdzie jest zbyt wiele światła. Kapliczka, na którą patrzymy, jest smętniejsza, aniżeli najsmętniejszy kościół gotycki — jest prawdziwym grobem. Ciekawiście może: kto w niej spoczywa? Nikt... Jej właściciel jest to człowiek podeszły, ale jeszcze żyjący. W młodości swojej żył całą potęgą lat młodzieńczych, dogadzał wszystkim namiętnościom, poterał siły, a dziś, w pięćdziesiątym roku życia, nie mając nic lepszego do uczynienia, oddał swym krewnym znaczną część fortuny, a za resztę postawił sobie tę oto kaplicę, i zakupił kilkaset butelek doskonałego wina. Co soboty przychodzi do swego grobowca, każe otwierać trumnę, mierzy się, bo chce wiedzieć: czy po śmierci nie będzie mu ciasno, potem wraca do domu i czeka przyszłej soboty. Wino leżące w piwnicy, jest przeznaczone dla tych mieszkańców Bolonji, co będą obecnymi na jego pogrzebie. Nie prawdaż, że do Bolonji opłaci się przyjechać! Podobnego rodzaju filozofów nie wielu jest na świecie!

Beppo.

Rozmaitości.

* Świeżo wydany „Chochlika Kalendarzyk humorystyczno-satyryczny“ odznacza się niewymuszonym dowcipem i bardzo udałymi drzeworytami. Cena przystępna, bo 50 cnt. Dostać można we wszystkich księgarniach. — Podajemy tu parę wyjątków:

„Nowy rok świetne
Robi nam nadzieje,
Stary stoi z boku
I... w kułak się śmieje!“
. . . .
— „A więc kochasz?“ Wątpisz jeszcze...
„Bardzo?“ Luba, racz nie pytać,
Wszakże srebro poszło w górę,
Zechciej sama kurs przeczytać!
. . . .
Finis, jam finis Poloniae...
Kłamstwo! krzyknie delegacja —
Jeszcze Polska nie zginęła,
Bo jest... propinacja!

* Czeskie pisma przyniosły wiadomość o przedstawieniu we Lwowie komedji P. Stachurskiego p. t. *Dużo śmiechu*. Recenzenci nie szczędząc autorowi i jego dziełu pochwał, zapewniają, że *Dużo śmiechu* na długo zostanie w repertoarzu polskim. — My tu nic o tem przedstawieniu nie wiemy... a raczej jesteśmy przekonani, że jak długo dyrektorem teatru będzie p. Miłaszewski, żaden z utworów p. Stachurskiego nie wejdzie na scenę lwowską.

* P. H. Stupnicki zamierza wydawać jeszcze jedno pismo p. t. „Przyjaciel ludu.“ Jeżeli nowy przyjaciel wstąpi w ślady nieboszczyka „Przyjaciela domowego“ i będzie jak tamten zapełniać kolumny przedrukami artykułów ze starych kalendarzy, to znajdzie w nas najgorliwszego prześladowcę, bo minęły czasy, w których można było, za pieniądze, karmić czytelników odgrzewanemi rzeczami, gdy się ma obowiązek dawać pokarm świeży i zdrowy!

* Profesor Antoni Waga powróciwszy z długiej swej podróży po Afryce do Europy, udał się do Paryża, i tamże ciągle przebywa.

* Pierwsza wystawa obrazów Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie zostanie otwartą d. 15. lutego w sali domu narodnego. Dyrekcja przyjmuje obrazy na wystawę od 16. stycznia, najdalej do 15. marca bieżącego roku.

* (Teatr). *Rodzina Benoitonów* komedja p. Sardou.

Pan Benoiton jest człowiekiem swojego wieku; jego bogiem — pieniądz, a świątynią giełda. Praktyczność hasłem tego obywatela, który też po swojemu wychowuje potomstwo: córkom mówi o pieniądzach, synowi o robieniu majątku, siedmioletniemu Fanfonkowi każe grać na giełdzie — markami pocztowemi, i z dumą patrzy na owoce swej pracy: panny Benoiton żyją wyłącznie modą i myślą o świetnem zamążpójściu, starszy synek gra w karty, kocha się, robi długi; mały Fanfon wie już co podwyższenie, a co zniżenie, umie nawet odmykać szafę ojcowską!...

Autor z wielkim talentem nakreślił obrazek paryzkiego życia, dopełniając go p. Formichel przyjacielem p. Benoiton i jego synem Prudentem, regulującym swe uczucia do cyfr sumy posagowej, i z zimną krwią oszukującym ojca — dla tego, że się oszukać pozwala. To się zowie: robieniem interesu!

W ten świat wstrętu pełny, wprowadza autor Klotyldę, kobietę zapatrującą się na świat niemodnie; wprowadza jej kuzyna, mającego dość zimnej krwi, ażeby zostać świadkiem tego, co się dzieje, a nawet starać się o rękę jednej z panien Benoiton. Około dwóch tych postaci obraca się cała komedja — jeżeli tak nazwać można utwor p. Sardou. Kozłem ofiarnym w sztuce jest Didier (p. Szymański), któremu autor każe przechodzić tortury, jak we francuzkim dramacie...

W ogóle wadą komedji jest brak akcji, nierozwinięcie szczegółów, a głównie: niczem nie umotywowana poprawa rodziny... Wiele, bardzo wiele gorzkich prawd wypowiedział p. Sardou społeczeństwu francuzkiemu, a i do naszych stosunków dało by się nie jedno zastosować!...

Przedstawienie samo szło nieco kulawo; bo i nie może być inaczej, gdy nowa sztuka staje na scenie tylko o dwóch próbach.

Z przyjemnością zapisujemy, że p. Rudkiewiczówna miała w grze swojej chwile, które wiele każą wnosić o jej wrodzonym talencie. Artystce tej potrzeba pracy nad wyrobieniem głosu, swobodne władanie jakowym zalicza się do niezbędnych warunków prawdziwego artyzmu. Całemu zaś gronu artystów robimy uwagę, że harmonja przedstawienia, swobodny tok konwersacji nie spoczywa w wyprzedzaniu odpowiedzi na jeszcze nie wygłoszone pytania, jak się to zdarza na naszej scenie... swoboda zaś grupowania się na scenie bynajmniej nie uprawnia do prezentowania publiczności kroju surdutów...

Panna Popielówna często bardzo zapomina o tem, że mówi dla publiczności, nie zaś dla współgrających... W ogóle spostrzegać się daje w młodych siłach naszej sceny zaniedbanie wymowy, która przecież jest rzeczą wielkiej wagi w dramaturgji. Wina to dyrekcji, która jak na wiele innych rzeczy, tak też i na wymowę nie zwraca żadnej uwagi.

Pan Szymański zapomniał o tem, że występuje w komedji...

Stopniowanie uczuć — rzecz wagi wielkiej na scenie; do artysty należy naprawić błąd autora, i z komedji nie robić trajedji, jak to uczynił p. Szymański w ostatnich aktach.

Pani Nowakowska, pomimo że występowała w roli dla się nie stosownej wywiązała się z niej znakomicie.

Fanfon, gdyby nie raził wymową niemiecką, byłby wybornym. Mały chłopczyna grał jak stary aktor, i nawet przesadzał — co złą jest wróżbą dla jego talentu, gdyż jak słyszeliśmy, ojciec (artysta sceny niemieckiej) przeznacza go na scenę.

Dodatek: kolorowana rycina mód.

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller.

Druk Kornela Pillera.